

— Tak było może dawniej. Tyle jest młodych dziewcząt, które źle kończą w tym okropnym Paryżu. Czoło starego Jakóba pokryło się ciężką chmurą.

— To prawda — mruknął niechętnie.

Myślał o swojej własnej córce, o swojej dobrej i pracowitej Elizie, którą zle towarzystwo popchnęło na złe drogi. Miała naturę dobrą, tylko lubiła się podobać i stroić. Z łatwowierności jej wykorzystali źli ludzie, a kiedy po jakimś czasie skruszona i nieśczęśliwa powróciła, przyjęli ją wraz z żoną, łatwi do przebaczenia. Teraz, tak jak dawniej pracowała uczciwie przy boku matki. Ale w sercu starego Jakóba pozostał zawsze żal i wstyd i troska o przyszłość tej córki.

— To prawda — powtórzył smutnie, kiwając głową.

Myśl jego teraz przeniosła się na tę młodą dziewczynę, bretonkę, którą zapamiętał, z tym nieprzypartym wyrazem prostoty i dzielności na twarzy.

— Ale ta, to co innego — dodał po chwili. —

W tej jest silny charakter.

Na drugim koncu ulicy św. Maur zapalono już latarnie, błada jasność oświeciła ulicę.

— Oto moje kobiety już powracają z pralni — rzekł Jakób. — Żona moja powtórzy panu to samo! Ale co to? Do kr. éset. Napaść jakaś! Zbrodnia: Eliza! moje dziecko!

Krzyk rozpaczliwy odpowiedział mu, wzywający ratunku.

Na końcu ulicy szły dwie kobiety. Jedna, starsza niosła na plecach duże zawiniątko z bielizną. Druga młoda, niewielkiego wzrostu, trzymała w ręce koszyk z łożyną i kubeł. Na przeciwnym chodniku stała grupa młodych ludzi z kaszkietami nasuniętymi na czoło, patrząc zuchwale i zaczepnie.

Obydwie kobiety przeszły i nagle grupa rozpierzchła się na różne strony, póki nie obejmując kobiety. Olbrzym jakiś oderwał się od grupy i silnym uderzeniem pięści powalił na ziemię starą kobietę, młodszą zaś otoczyli pozostali. Scena ta trwała zaledwie kilka sekund. Kiedy napastnicy na rozkaz olbrzyma rozpierzchli się, na ulicy pozostała tylko ogłuszona stara kobieta i dziewczyna, tarzająca się w kałuży krwi.

— Ah! nędznicy! — zawołał Jakób, dobiegając do nich. — Moja biedna stara! Moja Liza!

Oszalały rozpacz, chciał biec za uciekającymi.

Wkrótce na miejscu wypadku zbiegli się przechodnie, zawarczał automobil Allana. Stara kobieta już powstała z trudem, krzycząc rozpaczliwie do męża, którego nagle ujrzała przed sobą.

— Zabili nam córkę! Zabili nam córkę, nędznicy! — wołała, wskazując oszalała z bólu na bezwładne ciało Elizy! To ten wielki bandyta! Poznałam go! On to nam skradł dziecko, a teraz zemścił się na niej! On! i ten mały, wstrętny ulicznik!

Allan wskoczył do automobilu, pociągając za sobą energicznie ogłupiałego starego posługacza.

— W którą stronę uciekli? — rzucił starej kobiecie.

— W tę boczna ulicę! Oh! panie! zemścij się za nas! Dogoń tych zbrodniarzy! — łkała rozpaczliwie, czepiac się rąk Allana.

Błyski latarni automobilu oświeciły wąską i ciemną uliczkę.

— Widzę ich! widzę! — zawołał nagle stary Jakób.

— W drogę! — rozkazał Allan szoferowi.

— — — — —

Przed opuszczeniem dzielnicy, w której dotąd operował, Barykada chciał towarzyszyć i współnikom pozostawić żywy i pamiętny przykład zemsty. Eliza, córka posługacza Jakóba, opuściła ich szajkę i była od pierwszej chwili za to skazana. Nieszczęśliwa dziewczyna domyślała się wyroku, jaki ją czekał.

Czuła, że była szpiegowaną na każdym kroku. I kiedy nagle otoczona została przez tych, z którymi niedługo żyła, wiedziała, że już z ich rąk nie ją wyratować nie potrafi.

Załatwili się z nią zresztą i szybko, rozpierzchając się następnie pojedynczo dla zmylenia pogoni, w szarym zmroku ulicy, który ułatwiał ich ucieczkę.

Barykada z nieodstępnym Totorem, schowawszy skrwawiony nóż do kieszeni, uciekał do ochronnego muru na ulicy św. Ludwika.

Skończyliśmy szczęśliwie, mruknął apasz, od czasu do czasu spoglądając badawczo przed siebie. — Ma, na co zasłużyła!

— Ulica szczęśliwie była pusta — dorzucił Totor, krzywiąc się dziko. Nikt nas nie widział, nikt nie poznał. Mogą teraz szukać wiatru w polu!

— Ostatnie pożegnanie tej dzielnicy — rzekł Barykada.

Apasz nie mylił się. W tej chwili z przytłumio-

nym szelestem przesunął się koło nich automobil, zablysło światło latarni. Motor stanął.

— Uwaga stary — wrzasnął Totor. — Ojciec Elizy w pudle!

Ojciec Jakób wychylił się z automobilu, badawczo przeglądając ulicę.

Mały apasz chciał uciekać, dobiegł do wąskiej uliczki, prowadzącej do kanału. Skoczył z chodnika, jak kot, na ulicę, ale w przestachu nie obliczył skoku. Maszyna momentalnie puszczona w ruch potrafiła go, przewróciła i przeszła po nim w mgnieniu oka. Rozległ się donośny głos trąbki. Totor bez ruchu leżał pomiędzy kołami. Jeżeli żył jeszcze, to nie wiele chwil pozostawało mu już do życia.

Wściekłym ruchem Barykada wyciągnął nóż z kieszeni.

— Do diabła! — szepnął — automobil! tylko tyle! Czego chcą odemnie! No dalej! któryż tam wystąpi! Ty może! stary niedołęgo?!

Słowa te zwrócone były do Allana, który zeskoczył z maszyny i mierzył do niego z rewolweru. Byłby mu bez namysłu roztrzaskał głowę, gdyby nie Jakób, który energicznym ruchem odrzucił jego rękę. Rewolwer wypalił, ale kula zginęła w parkanie, ciągnącym się przed nimi.

— Tylko nie to! — rzekł stary posługacz, dysząc ciężko. — On do mnie należy! Poczekaj nędzniku!

— Czekam! — odpowiedział Barykada! — Czekam i nie sam, ostrzegam cię! w ręce mam ładną zabawkę.

— Dobrze! Widzisz, że i ja mam coś w ręce!

— Kpiny! Twoje haki! Dobrze do dzwigania starych stołków!

— Zobaczymy!

— Odstąp lepiej stary! To nie na twoje stare kości!

— To moja rzecz! Potrafię ci jeszcze łeb roztrzaskać zbrodniarzu. Masz! za Elizę!

Jakób podniósł do góry rękę, uzbrojoną w grube żelazne haki i okręciwszy je w powietrzu, uderzył nimi w głowę apasza. — Zanim się Barykada opamiętał i mógł uczynić użytek z strasznego, swojego rzeźnickiego noża — był już całkiem ogłuszony i krew gęstymi kroplami zciekała z jego twarzy.

Stary Jakób dalej manewrował zaciekle swoją bronią. Razy spadały jak grad na przeciwnika, cofającego się do parkanu.

— Masz! masz kanalia! — ryczał, oszalały zemstą posługacz. — Nie ujdiesz mi ty z ręki, chybaby sprawiedliwości na świecie nie było!

Nóż trzymany przez apasza wypadł mu już z ręki. Zaklął z wściekłością i rozejrzawszy się wokoło, rzucił się z pięściami wyciągniętymi naprzód.

Ale rzemieńne pasy haków już okręciły się koło jego potężnej szyi i pociągnęły gwałtownie. Barykada zachwiał się, stracił równowagę i upadł na bok. Chciał poderwać się, lecz zdołał się tylko unieść na kolanie. Ciosy spadały coraz gwałtowniejsze, odbierając mu przytomność umysłu!

— Dostałem się! — jęknął głucho, usuwając się całkiem na ziemię.

Było to jego ostatnie słowo. Pod naciskiem strasznego ciosu mózg jego rozprysnął się w kawałki.

Barykada, straszny apasz, postrach dzielnicy kanału, zwalczony został na zawsze. Ostatnim jego przeciwnikiem był stary Jakób, posługacz z ulicy św. Maur, którego zemsta i ból za utraconą córkę uzbroiły w potężną i sprawiedliwą siłę...

### Światło!...

Scena powyżej opisana, ku niezadowoleniu Allana, zakończyć się musiała na inspekcji policyjnej, opóźniając tem samym jego dalsze działanie.

— Pierwszy raz żałuję, że posiadam automobil — myślał Allan podrażniony.

Zdziwił się jednakże, kiedy nie wyznaczono mu żadnej kary za szybką jazdę i przejechanie małego apasza.

A że zbrodnia, popełniona przez Barykadę, pomieszczona przez starego Jakóba, przechodziła zwykły zakrój wypadków, zdarzających się w Paryżu, komisarz dzielnicowy odesłał całą sprawę do biur głównej dyrekcyj policyjnej, gdzie zajęto się nią gorliwie.

Szef „biura poszukiwań“ od pewnego już czasu objął swoje urządowanie, ale pamiętał jeszcze i czuł niemile zetknięcie się swoje z apaszem, uciekającym z więzienia. Pochwycenie zbiega i odszukanie Luizy Rieux stało się odtąd największą jego troską i punktem honoru. Niestety, w tym wypadku spotkało go zupełne niepowodzenie.

Ślad po Luizie le Rieux i Janinie le Brenn zaniknął całkiem, bez najmniejszej nadziei odzyskania go. Musiał się przyznać do swojej porażki z wiel-

kiem upokorzeniem i niechęcią przed ojcem Luizy, pułkownikiem Rieux, który został w tym czasie przeniesiony do jakiegoś prowincjonalnego miasteczka.

Co zaś do Barykady, to tak, jak gdyby los się na niego wziął. Odnalazł wprawdzie ślad jego w najskrajniejszej dzielnicy Paryża, ale pochwyć go nie mógł. Wiedział tylko tyle, że apasz miasta nie opuścił i dalej prowadzi swoją niszczącą pracę w okolicach kanału, będąc plagą i postrachem wszystkich.

Kilka razy już zdawało mu się, że go pochwycić zdoła. Zasadzki na niego i nocne obławę zarządzane zostały, ale w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewał, apasz zniknął bezpowrotnie.

A wtedy, kiedy rzeczywiście opuścił Paryż, udając się dla dokonania nowej zbrodni do Bretonii — wówczas właśnie sądzono, że znajduje się na miejscu i nadarza się najlepsza sposobność pochwycenia go.

Tego dnia zdumiony szef „biura poszukiwań“ otrzymał przed chwilą telefoniczną wiadomość, że poszukiwany ciągle więzień dokonał zbrodni na środku ulicy św. Maur i że o kilkadziesiąt zaledwie kroków od tego miejsca wykonano na nim wyrok sprawiedliwości i zemsty.

Nareszcie nieszczęśliwy urzędnik uwolniony został od dręczącej go zmyry i mógł odetchnąć swobodnie. Pomimo tej ulgi czuł jednak pewien rodzaj upokorzenia, że nie przyczynił się do zamknięcia mordercy w murach więzienia. Bezwzględnie automobilem udał się do biura komisaryatu, znajdującego w danej dzielnicy. Opanował się przeciw wóbec Allana, zdumionego życzliwym jego przyjęciem i uściśnął dłoń starego Jakóba, mówiąc do niego swobodnie:

— Doskonale zrobiliście, moi drodzy. Prawo co prawda mówi: „że nikt niema prawa samemu sobie wymierzać sprawiedliwości“ — ale przyznać w tym wypadku muszę, że zasady nowoczesnej instytucji naszej nie godzą się pedantycznie z tem twierdzeniem.

— Tak — przyznał spokojnie Allan. — Powinno się lynchować tych ptaszków, jak to u nas czynią w Ameryce. To nauczy drugich żyć inaczej i pozostawiać w spokoju uczciwych ludzi.

— Smutne to do stwierdzenia — odparł urzędnik, któremu podobala się śmiała odpowiedź Allana — ale dokąd nie poczynione zostaną pewne zasadnicze zmiany w naszej instytucji wyższej, coś w rodzaju sprawiedliwości tego pocziwego ojca Jakóba, akcja naszego działania będzie zawsze utrudniona. Bo cóż znaczą tacy urzęduicy, jak my, którzy tylko według surowego paragrafu postępować mogą.

Ostatnia porażka leżała mu jeszcze na sercu. Opowiedział Allanowi o wydarzeniu swoim z apaszem, któremu to zawdzięczał zniknięcie Luizy de Rieux, nie mówiąc już o dotkliwym razie, otrzymanym w same piersi.

— Właśnie przystąpiłem do badania i uwolnienia pewnej młodej dziewczyny, którą miałem odesłać pod opiekę wzywającego ją ojca. Aresztowaną była wraz z innymi u jakiegoś pseudo modystki, na ulicy św. Łazarza.

— Czy nie u pani Wiktorii? — zapytał prędko Allan.

— U niej właśnie. To pan ją zna?

— Tylko z opowiadania, proszę mi wierzyć. Ale proszę, zechciej pan dalej mówić. Właśnie wybierałem się do dyrekcyj policyjnej w tej sprawie, która mnie bardzo zajmuje.

— Mogę pana poinformować dziś wieczór jeszcze. Sprawa ta jest mi bardzo dobrze znana. Może zechce pan skorzystać z mojego urzędowego automobilu i udać się do pałacu wraz ze mną.

— Przyjmuję z wielką wdzięcznością.

— Czuję się bardzo zadowolonym, że mogę się taką drobnostką przysłużyć sławnemu amerykańskiemu przedsiębiorcy. Ale pozwoli pan, przedtem mam pewne formalności do dopełnienia tutaj jeszcze.

— Ależ oczywiście, zastosuję się do pana.

I podczas kiedy urzędnik rozmawiał z komisarzem z dzielnicy, Allan kazał swojemu szoferowi powrócić do garażu, poczem wyjął kilka banknotów z portfela i położył je na biurku sekretarza, mówiąc swobodnie:

— Przeznaczam to na pogrzeb tej nieszczęśliwej dziewczyny. Resztę zaś proszę wręczyć jej rodzicom.

Dyrektor biura poszukiwań widział szlachetny ruch Allana, przystąpił do niego i biorąc go pod ramię, rzekł szczerze:

— Zacny z pana człowiek, panie Allan, gdyby takich więcej było, nie byłoby tyle nędzy i łez na świecie. No, chodźmy! Chciałbym bardzo przysłużyć się panu.

(Ciąg dalszy nastąpi).